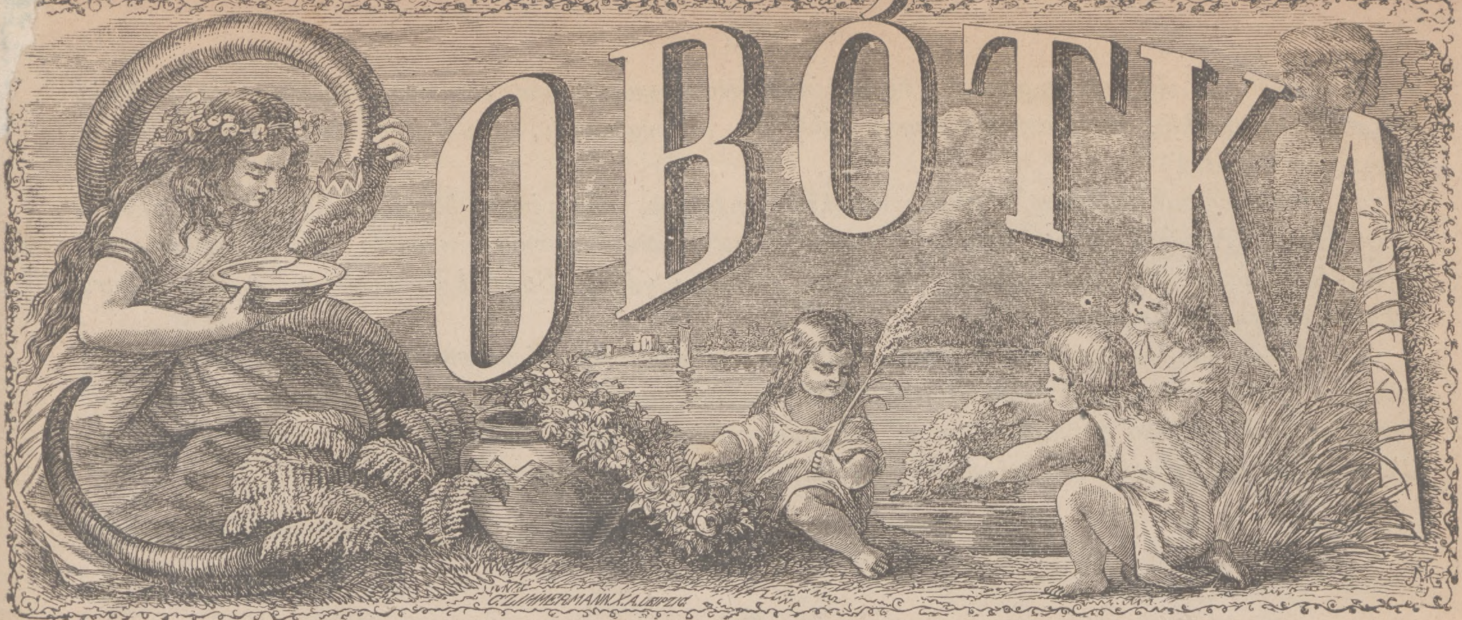


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 52. Poznań, dnia 24 Grudnia 1870. Rok II

Do Czytelników naszych.

Kiedy przed dwoma laty powstała myśl rozpoczęcia wydawnictwa Sobótki, odezwaliśmy się do Publiczności z żądaniem jéj poparcia, obiecując z naszéj strony nieszczędzić ani starania ani kosztów, ażeby zaufaniu w nas położonemu godnie odpowiedzieć. Dwa lata wydawnictwa przekonały nas, że Publiczność czuje potrzebę wypełnienia tych luk życia duchowego, którym zadosyćuczynienie za cel sobie położyła Sobótka. Nieśmiemy twierdzić, że cel ten w zupełności przez nas osiągniętym został — sami najlepiéj widzimy ujemne strony pisma naszego, ale trudności z jakiemi ono spotkać się musiało, niech nas w oczach Czytelników usprawiedliwią. Brak literackiéj i artystycznéj pomocy na miejscu, ztąd konieczność wspomagania się pracami, które nie zawsze z interesem miejscowych czytelników bezpośrednio wiązały się, w końcu zbyt niska cena, przy ograniczonéj liczbie prenumeratorów, były głównemi przeszkodami rozwoju Sobótki. Ale im większe trudności spotykamy, tém więcéj nas to przekonywa, że w zadaniu naszém ustawać niepowinniśmy — i dla tego silni przekonaniem i wiarą w żywsze poczucie potrzeby pokarmu duchowego w kraju naszym, postanowiliśmy z początkiem Nowego Roku Sobótkę rozszerzyć i tak część jéj literacką, jak artystyczną ulepszyć. W tym celu zawiązaliśmy stósunki z najpierwszemi siłami literackiemi naszego kraju, jak: J. I. Kraszewskiego, Libelta, Odyńca, Sabowskiego, Wojcickiego, Zacharjasiewicza i innych. — Przyrzeczenie pomocy otrzymaliśmy i już dziś nawet w tece znaczny zapas materyału posiadamy.

Pierwsze numery Nowego Roku zawierać będą powieść współczesną J. I. Kraszewskiego, Nowellę Wołodego Skiby i Józefa Narzymskiego, Opowiadania o naszych zwyczajach K. W. Wojcickiego, Opis Warszawy pod tytułem „Warszawa dziś i wczoraj“ tegoż autora, Poezye i Podróże artystyczno-literackie A. E. Odyńca, Rozprawę „O powieści i jéj znaczeniu w literaturze“ Bolesławity, Podróże I. Gordona itd.

Prócz tego stale, raz w miesiąc zamieszczać będziemy: Przegląd ruchu literacko-artystycznego pióra Bolesławity, Kronikę miejską i prowincyonalną, Recenzye teatralne i Przegląd bibliograficzny.

Nadto winniśmy dodać, że baczni na zewnętrzną stronę Sobótki, urządzamy dla niéj zakład drzeworytniczy, którego artystyczny kierunek obejmuje p. Baranowski. Nie wątpimy, że odtąd ryciny tak pod względem wykonania, jako i ich treści zadowolnią Czytelników naszych. Przede-

wszystkiém starać się będziemy, ażeby ryciny w Sobótce zamieszczane, stanowić mogły pewnego rodzaju album Wielkopolskie, zawierające obrazy zabytków historycznych, architektonicznych i miejscowych zwyczajów narodu.

Nakładcy nie szczędzą kosztów, redakcya zachodów, aby pismo, które w ciągu 2 lat zyskało 4,000 prenumeratorów, odpowiedziało w zupełności potrzebom i wymaganiu ogółu. To też celem przeprowadzenia wszystkich tych reform zmieniamy format i odtąd „Sobótka" wychodzić będzie półtora arkusza druku tygodniowo. —

Mimo powiększenia formatu, mimo ulepszeń zewnętrznych i wewnętrznych, ceny nie podwyższamy w nadziei, iż każdy z Czytelników Sobótki poprze nasze usiłowania i przynajmniéj jednego lub dwóch nowych pozyska prenumeratorów. Prenumerata kwartalnie tylko 15 sgr. — przyjmują wszystkie kr. pr. urz. pocztowe i księgarnie, w Galicyi 1 fl. 15 (z przesyłką 1 fl. 40).

Nakładcy i Redakcya Sobótki.

Nieszczęsny Legat.

Powieść spółczesna

przez

J. K. Turskiego.

(Dokończenie).

XIII.

Nadzieja wiosny.

Parę miesięcy upłynęło od uwolnienia Stanisława, a przez ten czas nie zaszła żadna ważniejsza zmiana z osobami na scenie naszego opowiadania występującemi, oprócz wyroku zapadłego na Piotrusia, skazującego tego łotra na 10 lat ciężkiego więzienia, który to wyrok był publicznie w gazetach ogłoszonym. Staś zostawał w mieście, w mieszkaniu swojém nowém, przy ulicy św. Jana; — całą zimę z pokoju nie wychodził, i mnóstwo spożywał lekarstw, które jednakże nie wiele mu pomagały, bo zdrowie jego było bardzo mizerne, a kaszel i krwiotoki męczyły go niezmiernie. — Pan Sylwester, dobry i szczęśliwy nawet lekarz, był jego codziennym gościem; radził co mógł, ale sam zaczął tracić nadzieję w przywrócenie zupełnego zdrowia swemu pacyentowi, któremu najwyraźniéj zagrażały suchoty, ta nieszczęsna choroba, co sobie ze wszystkich wynalazków i postępów medycyny żartuje i nic nie robi, robiąc także z człowieka nic — proch — pył znikomy — w grobie rozlatujący się w pierwiastek nieodgadnionéj przyszłości. Staś czuł i pojmował swój stan. Samo zachowanie się przy nim lekarza, pomimo jego najzręczniejszego pokrycia swéj obawy, podsuwało mu myśl o niebezpieczeństwie, a gdy jeszcze do tego lekarz ten przy pannie Eufemii pewnego razu oświadczył, że trzebaby może sprosić kilku doświadczeńszych kolegów na konsylium, upewnił się w swoich trwożliwych podejrzeniach — i zaczynał wątpić o sobie. Konsylium się odbyło; panna Eufemia nie szczędziła kosztów, choćby największych, i ogłoszono Stasiowi pocieszający sąd pięciu lekarzy, że jego choroba płucna nie jest niebezpieczną, i że wiosna, a z nią podróż do gór, na żętycę i świeże powietrze, przywrócą mu zupełne zdrowie. Staś uwierzył w tę radę i to zdanie pocieszające. Największy kaszel i boleści piersiowe znosił teraz daleko cierpliwiéj niż dawniéj — bo zawsze koił swój ból nadzieją wiosny, w któréj moc skutecznego leczenia uwierzył jak najsilniéj. — Inaczéj widzieli te rzeczy Grzywa, panna Eufemia i Tomcio, którzy wprawdzie pocieszali się trochę nadzieją podróży w góry ale nie mieli w to wiary, czy nieszczęśliwy pacient té uzdrawiającéj wiosny doczeka. — W marcu choroba Stasia wzmogła się znacznie. Nietylko pokoju, ale łóżka opuszczać już nie mógł. — Zbiedzony, wyschły, na licu wybladłém miał już owo nieszczęsne piętno zguby — te rumieńce ceglaste, tak ironicznie szydzące swym kolorem niby życia i czerstwości, z wyschłéj skóry powlekającéj suche kości chorego. — Stary sługa nie odstępował go ani na krok; do posełek był przyjęty drugi, zwinny i żwawy Janek, spełniający swe obowiązki z wielką ochotą i humorem. Tomcio i Grzywa, dwaj nieodstępni jego przyjaciele, odwiedzali go bardzo często. Grzywie często łzy w oczach świeciły, gdy się spojrzał na gasnącego widocznie Stanisława. Staś mało już mówił — lekarz i kaszel nie pozwalali mu téj przyjemności. Jedyną jego rozmową było pytanie zadawane każdemu, kto się u niego pokazał: czy już wiosna? — czy będzie można wkrótce jechać w góry; czy się już zieleni na polu? —

— Czy przyleciały już bociany, mówił raz do Tomcia cichym i przerywanym głosem, pokasłując ciągle. —

— Jeszcze nie, mój Stasiu — jeszcze zimno; za parę tygodni, w kwietniu to już pewno przylecą.

— I będzie wiosna? — mój drogi, jak myślisz, czy będzie tego roku wczesna wiosna, czy późna.

— Zdaje się, że będzie wczesna, bo zima była tęga. —

— O! to dobrze; powiedz téż Łukaszowi, żeby mi moje suknie na drogę przygotował. Ja myślę, że najdaléj za dwa tygodnie pojedziemy; — éj, zobaczysz

Tomku, jak ja wyzdrowieję... Mocny kaszel nie dozwolił mu daléj mówić.

— Ale dużo mówisz Stasiu, już sobie odmów téj przyjemności; trzeba słuchać lekarzy.

— O ja słucham. Ale wierz co mi się dziś śniło?

— Opowiedz krótko.

— O twojéj siostrze. Wszak ona poszła za mąż?

— Nie, mój drogi.

— Nie? — A to śmieszna rzecz; mnie się śniło, że ja się biłem z jéj mężem.

— To śmieszne.

— A gdzież ona jest?

— Przy mnie; bo jak wiesz już, matka nam przed pół rokiem umarła.

— Umarła? — A śniła mi się także. I cóż Wikcia robi?

— Pracuje i pomaga méj żonie.

— A! boś to ty się ożenił! Patrzajże się, jak mi się to w głowie pomięszało.

— Myślisz o różnych rzeczach, nie sypiasz może?

— Oj nie sypiam, mój Tomku — nie sypiam. Przez dzień czasem zdrzemnę się, i to moja pociecha. — Zażycie lekarstwa, z którém Łukasz zbliżył się do chorego, przerwało rozmowę; Staś położył się i zasnął. Sen jego był okropnym. Na wpół otwarte oczy latały bezwiednie do koła, oddech ciężki targał całą piersią — usta otwierały się, aby zaczerpnąć powietrza — a ogień wewnętrzny palił okropną gorączką. Staś był już w ostatnim stopniu nieuleczonych suchót. Widok tego człowieka był wzruszającym do głębi. Tyle walki, szamotania się i nadziei — i wszystko na nic! — Przeszłość szaleństwa i obłędu, wywołana nieszczęsnym legatem kuzynka — zdawała się naigrawać ze swojéj ofiary — mszcząc się niejako na niéj za niedotrzymanie jéj wiary — za zerwanie z nią, i opamiętanie się. Z dzikiego chaosu omamień i zapomnienia się, człowiek ten przebudził się na głos poczciwego serca kuzynki Eufemii, i na podszept haniebnéj zbrodni, do któréj się tak zbliżył okropnie, po śliskiéj drodze swego obłąkania. Ocknął się i ujrzał prawdę. Zwrócił się do pracy — ale w tém ocknieniu, w tym zwycięskim zwrocie napotkał najniezasłużeńsze pokuty: więzienie i chorobę. — Czyliżbyśmy może chcieli z téj pozornéj niesprawiedliwości losu, obwiniać Stwórcę o niesprawiedliwość?! — Nie — ani na chwilę!

Surowym sędzią spraw ludzkich jest Bóg — ale sprawiedliwym jest zawsze, a miłosierdzie Jego skryte nie zawsze jest widziane. Wszystko, co teraz z gorącém współczuciem widzimy na Stasiu — wszystko to zbierało się od dawna. Pierwsza gorączka żądzy zatliła ten ogień choroby, który go dzisiaj pali i niszczy. Łańcuch ów nieszczęść, o którym sam ciotce Eufemii opowiadał, sprowadzał jedne następstwa po drugich. — Z jednego ogniwa, wyradzało się drugie i dziesiąte. Teraz opasały go wszystkie, i wpiły się w niego uściskiem zemsty za to, że ich zawcześnie chciał porzucić i zdeptać. Teraz go tulą do siebie — i nie wypuszczą go, bo na własność opętały jego życie, jako szatan, któremu duszę sprzedajemy. Biedny on i nieszczęśliwy — ale surowy głos sądu człowieka, głos nieprzebłaganéj konieczności, — nakazuje powiedzieć sprawiedliwie, że sam sobie winien wszystko. Winiłby może ktoś legat?... Wszak on to tego całego nieszczęścia przyczyną; — ależ człowiek ma rozum i wolę — a legat to martwa litera prawa. Być może, iż prawo uwzględniając słabość natury ludzkiéj, uwzględniając słabość rozumu i woli człowieka, mogłoby zmianę porobić w niektórych swych paragrafach, a może też właśnie i w tym, który tyle nieszczęścia sprowadził człowiekowi; nigdy jednakże człowiek uniewinniać się tém przypuszczeniem nie może — i skutki jego słabéj woli i rozumu, sam sobie musi przypisywać. Współczucia odmówić mu nie będziemy mogli, uniewinnienia dać nie możemy także. — Staś znajdował się właśnie w takiéj okoliczności. —

Pani Ambrożowa dowiedziawszy się o tak niebezpiecznym stanie zdrowia swego kuzynka, zapragnęła go odwiedzić. Uważała jednak za rzecz stósowną uprzedzić Stasia o swoim zamiarze, i dowiedzieć się, czy będzie dobrze przyjęty. Panna Eufemia pośredniczyła jéj w tym względzie i ona też spytała się Stasia, na którego teraz patrzeć bez wzruszenia nie mogła, czyby się nie gniewał, gdyby pani Ambrożowa go odwiedziła.

— A o cóżbym się miał gniewać, moja ciociu! — Teraz mi już inaczéj przedstawia się jéj kamienica. Kiedy pani Ambrożowa umrze, ja będę stary i będę miał kącik własny. Dopóki zaś żyję, ja mogę pracować, i będę pracował u cioci, jeżeli ciocia pozwoli.

— O! mój Stasiu, żebyś tylko jak najprędzéj wrócił do Tatrzanki.

— No — no; teraz już coraz bliżéj wiosna. Pani Ambrożowa ucieszyła się wieścią przyniesioną przez pannę Eufemią. Zebrała się natychmiast i poszły obie. Staś spał.

— Patrz kuzynko, jak ten biedak wygląda, mówiła po cichu panna Eufemia do pani Ambrożowéj, stąpając na palcach.

— Ach! mój Boże, rzekła pani Ambrożowa, jabym go nawet nie poznała.

— Serce się kraje na widok tego nieszczęśliwego człowieka.

— I nie ma już ratunku żadnego?

— W Bogu nadzieja, rzekła, płacząc już dobra ciotka.

Staś przebudził się. Ciotka otarła czémprędzéj łzy z oczów; pani Ambrożowa zbliżyła się do łóżka chorego.

— Jak się pan Stanisław ma?

— A! pani Dobrodziejka, rzekł zakaszlawszy mocniéj.

— Przyszłam odwiedzić pana; dawnośmy się nie widzieli.

— O! dawno — bardzo dawno — mówił Staś, po którego głosie poznać było można mocniejsze jakieś wzruszenie; przy czytaniu testamentu, nieprawdaż?

— A tak — podobno od tego czasu.

— Nieszczęsny ten testament, rzekł Staś.

— A to dla czego?

— Panią zaniepokoił, i mnie oto nabawił takiéj choroby.

— Ale co tam o tém mówić, wtrąciła ciotka.

— Ba! nie mówić, kiedy to rzecz najważniejsza. Mnie nie chodzi już dziś o tę kamienicę. Ale dawniéj byłem głupi; chodziło mi o nią bardziéj, niż o życie.

— Pan jednak, rzekła pani Ambrożowa, czujesz się teraz lepiéj, niż dawniéj.

— O! daleko lepiéj... ale, niechno tylko pojadę... zobaczycie państwo, jak mię te góry na nogi postawią... ach! żeby nie ten kaszel... Obie kobiety milczały, wstrzymując się od płaczu. Po chwili Stanisław znów mówił: Wszak wiosna już niedaleko? —

— O! już za parę dni będziemy mieli ciepło.

— Dzięki Bogu; pojadę zaraz, pojadę. Pojedziemy przez Tatrzankę, ciocia pewno pojedzie ze mną.

— O pojadę kochany Stasiu, z pewnością.

— Dobra ciotunia. Wie pani com ja winien téj dobréj i kochanéj ciotuni.

— Bóg jéj to nagrodzi, rzekła pani Ambrożowa.

— Inni by tego nie zrobili nigdy. — Pani Ambrożowa zarumieniła się.

— Ale — ale; muszę państwu powiedzieć, co mi się dzisiaj śniło.

— Tylko nie wiele gadaj, mój Stasiu.

— Krótko. Śniło mi się, żem umarł; i nad tém tylko ciągle myślałem, co się stanie z moją kamienicą.

— Różnie się to marzy w chorobie.

— I bardzo mi było przykro, żem nie zrobił testamentu. Wszak ja mogę zrobić testament?

— Możesz, możesz, mój Stasiu, ale o tém myśli się dopiero w późnym wieku.

— To prawda, ale niechże umrę.

— Co téż to mówisz?

— No! — przypadek może się zdarzyć. W takim razie, cóżby się stało z kamienicą?

— Éj bajdurzysz mój Stasiu.

— Nie — nie; powiedzcie mi.

— Będzie własnością twoich sukcesorów — dzieci, dodała z wymuszonym uśmiechem ciotka.

— Ciocia żartuje, a ja mówię na prawdę.

— Éj, kiedyś dziecinny; nie lubię słuchać takich rozmów twoich.

— Więc ja się pani Ambrożowéj zapytam.

— Ja nie wiem tego, mój panie, ale widzę, że jeszcze dość czasu na zapytanie się kogoś biegłego w téj rzeczy; a zresztą nie czas i panu myśleć o tém.

— Wie pani, co się to ze mną działo przedtém, nim mnie ciotka wzięła do siebie.

Wiém, mój panie, chociaż późniéj dopiero dowiedziałam się o tém.

— Ja byłem prawie jak szalonym. Zawsze mi ten legat dużo zaszkodził. O! jak sobie przypomnę wszystko. I to mówiąc wyschłemi rękami zakrył sobie oczy i westchnąwszy głęboko, zwiesił głowę na poduszki.

— Ja dziś przecierpiałem. Byłem waryatem, nędzarzem — a! ale byłem raz i poetą...

Ciocia się przelękła, czy nie przystąpiła mocniejsza gorączka; zbliżyła się więc do Stasia i chciała go wziąść za rękę.

— Nic — nic, droga ciociu — wspominam sobie przeszłość, Pamiętam wtedy dobrze. Wróżka stara umarła. Ja przekląłem świat, ludzi i siebie i rozpaczając, gdy błądziłem po polach samotny, ułożyłem cztery wiersze, byłem poetą; czekajcie państwo, powiem wam je: ach! ten kaszel nie da mi mówić.

Zakaszlał mocno. Ciotka napomniała go, aby nie gadał tyle, pani Ambrożowa zabierała się do odejścia.

— Czekajcie, czekajcie państwo — powiem wam wiersze mojego utworu. Nie ładne, koszlawe, ale prawdziwe. Słuchajcie:

Ha! czemuż Dante karząc świat tak godnie
Wszystkiemi męki znanemi już światu —
Nie znał mojego strasznego legatu!
Mógłby nim skarać najstraszniejsze zbrodnie! —

— To prawda — o święta prawda. To szalony legat! to nieszczęsny legat! —

Słowa te wymówił prawie z całéj siły — i tak się zmęczył niemi, że upadł na poduszki — i przez chwilę jak martwy przeleżał.

— Ale ja nie bawię moich gości — rzekł po chwili wypoczynku — przebaczcie. Jak wrócę z gór, będę weselszy — zabawię was — o! ja zaraz do pani przyjdę. Już się teraz nie boję kamienicy. Ja teraz już wyleczyłem się z mego obłąkania. —

Pani Ambrożowa siedziała jak na torturach. Nie mogła już dłużéj znosić widoku tego nieszczęśliwego, którego nieszczęścia mimowolną była przyczyną. Oddać bowiem kamienicę przed terminem, wyznaczonym w testamencie — byłoby to sprzeciwieniem się woli nieboszczyka... Tak myślała — tak przynajmniéj perswadowała sobie. Pożegnała Stasia i wyszła pełna najboleśniejszych wrażeń. —

W kilka dni potém inna znowu scena odbyła się w pokoju chorego. Sprowadzony notaryusz spisywał jego testament. Uparł się koniecznie, aby na wszelki przypadek być gotowym.

Testament dotyczył się jednego tylko legatu, który zapisać mu wolno było, komu chciał. Staś przedtém rozmówił się z Tomciem, a rozmowa ta pogorszyła nawet stan jego zdrowia. Gdy bowiem oznajmił mu, że mu chce zapisać swój legat, dobroduszny i otwarty Tomek zawołał niebacznie: A! niech mię Pan Bóg broni od tego nieszczęścia.

— Jakto? więc nie chcesz kamienicy.

— Z takim strasznym warunkiem za nic w świecie. Czyż nie wiém, coś ty wycierpiał; miałbym siebie skazywać na podobne męczarnie. —

— Ależ Tomku!

— Nie — nie; przebacz, ale ja nie chcę tego zapisu.

Stasia to obeszło, i wpadł w cięższą gorączkę. Ta sama scena powtórzyła się z Grzywą. Grzywa stanowczo odrzucił ofiarę.

— Więc kiedy tak, to ja zapiszę ten legat ubogim.

— Najlepiéj pan zrobisz — lubo wszystko to jeszcze za wczas, mówił Grzywa.

Kiedy więc notaryusz siedział już przy jego łóżku, Staś z dziwną jakąś siłą i przytomnością dyktował mu co następuje:

„Nieszczęsnego mego legatu nie zapisuję żadnéj żyjącéj osobie, gdyż nikogo nie chcę karać taką męczarnią, jakiéj doświadczyłem sam przez lat parę. Zapisuję go Towarzystwu Dobroczynności Krakowskiemu — niech ubodzy i kalecy zostający pod jego opieką, nie wiedzą nawet, jaki grosz otrze im łzy niedoli i bólu.“ —

Podpisał się potém — i rzecz się skończyła.

— Nazajutrz spowiadał się. Mimo istotnie zbliżającéj się wiosny, czuł on niknące siły i życie. Sucho-

tnicy wiedzą że umrą i kiedy umrą. Wmawiają w siebie nadzieję do ostatniéj chwili, a jednak w nią nie wierzą.

Tak téż i Staś — łudził się nadzieją wiosny, ale gotował się na śmierć.

W kilka dni po przyjęciu komunii świętéj — zakaszlał się mocniéj — głowa mu zwisła w poduszki — zakrztusił się — i skończył.

Łukasz pierwszy dowiedział się o jego śmierci. Wkrótce o niéj dowiedzieli się wszyscy jego krewni — i gdy ta wieść doszła do mnie, wszyscy jednozgodnie utrzymywali, iż śmierci Stanisława Ciołka przyczyną, był jego nieszczęsny legat. —

KONIEC.

Wojna.

VI.

Już to obecna wojna obfituje w niespodzianki. Dzieje się zawsze to, czego się nikt nie spodziewał, ztąd wszelkie obliczeniaj przyszłości zawodzą i każdemu dziennikowi dowieść można, że jego przepowiednie były fałszywe. I my nie lepiéj zrobiliśmy. Kiedy przed dwoma miesiącami pisaliśmy ostatnie sprawozdanie z wojny, wypowiedzieliśmy przekonanie, że Paryż będzie musiał kapitulować, jeżeli w przeciągu czterech tygodni nie przybędzie mu na odsiecz potężna armia, którаby zdołała rozerwać łańcuch oblężniczy, podczas gdy Metz prawdopodobnie wytrwa aż do końca wojny. Tymczasem stało się przeciwnie. Paryż broni się do dzisiaj, a marszałek Bazaine poddał dziewiczą fortecę w tydzień potém, gdyśmy owe słowa pisali. 27go października została podpisaną kapitulacya, mocą któréj Metz został wydany wojskom pruskim, a cała zamknięta w nim armia poszła w niewolę. Trzech marszałków, Bazaine, Canrobert i Leboeuf, 50 jenerałów dywizyi i brygady, przeszło 6,000 oficerów i 173,000 żołnierzy złożyło broń. Prócz potężnéj fortecy, uważanéj powszechnie za niepodobną do zdobycia, dostał się zwycięzcom olbrzymi materyał wojenny: na tysiące liczono zdobyte działa i konie, na statysięcy zdobyte szassepoty i przedmioty służące do umontowania żołnierzy. I to wszystko stało się nie po stoczeniu krwawych walk, na wzór owych zapasów pod Sedanem, lecz cichuteńko, bez wystrzału. Stał się fakt, o jakim nie słyszały dzieje wojenne ani starożytnych, ani nowożytnych czasów. Nie polała się przy kapitulacyi Metz'u ani jedna kropla krwi francuskiéj, lecz za to honor francuski ulatniał się wszystkiemi porami. Mieli słuszność mieszkańcy Metz'u, iż przed wejściem wojsk pruskich zasłonili krepą posąg marszałka Foberta, zdobiący główny plac miasta, bo jednocześnie i geniusz wojenny Francyi zakryły ciemne chmury, z po za których Bóg wie kiedy na nowo się ukaże.



Leon Gambetta.

To też oburzenie w całéj Francyi było tém większe, im mniéj spodziewano się téj katastrofy. Nietylko rząd

republikański, lecz opinia całego narodu napiętnowała marszałka Bazaine'a imieniem zdrajcy, który nadziejom restauracyi Bonapartów poświęcił ostatnią regularną armią i najsilniejszą fortecę Francyi. I bodaj, czy marszałek zdoła się oczyścić z tego zarzutu, tém więcéj, że i jenerał Changarnier, którego czysty charakter znany jest wszystkim, i inni wysocy oficerowie francuscy poparli swemi świadectwami zdanie ogółu. Publikacye ogłoszone przez tych panów wykazały dowodnie, że wprawdzie w końcu października armia francuska tak była zdemoralizowana oblężeniem i niedostatkiem, iż kapitulacya stała się konieczną, lecz że w sierpniu i we wrześniu mógł był marszałek Bazaine rozłamać linie oblężnicze i przebić się z częścią armii, gdyby był wytężył wszystkie siły, jakie miał na swe rozkazy, a nie ograniczał się na wycieczkach niewielkich rozmiarów, które chyba tylko niepokojenie nieprzyjaciela miały na celu. I cóż spowodowało w żelaznym mexykańczyku ową miękkość i brak stanowczości? Owoż nie co innego, jak się zdaje, jeno niechęć do rządu republikańskiego i pokutująca mu po głowie myśl restauracyi Bonapartów, chociażby z pomocą Prus. Następstwem tych rewelacyi było, że nienawiść Francuzów przeniosła się spotęgowana jeszcze z marszałka Bazaine'a na więźnia w Wilhelmshöhe, któremu w ostatniéj linii przypisano owę hańbę Francyi. To też, jeżeli po kapitulacyi armii Mac Mahona upadł Napoleon III, to kapitulacya Metz'u odsunęła niewątpliwie całą familią Bonapartów na zawsze od tronu francuzkiego. Podobno hr. Bismarck miał powiedzieć, że cesarz Napoleon III swemi obecnemi postępkami nie tylko siebie, ale i swego wielkiego stryja pogrzebał. Jeżeli nie prawdziwe, to bardzo trafne wyrzeczenie!

Poddanie Metz'u pogorszyło ogromnie położenie Francyi. Książę Fryderyk Karól, naczelnie komenderujący armią oblegającą Metz, miał rozwiązane ręce; mógł on teraz rozporządzać dowoli swém wojskiem, dochodzącém liczby 200,000 żołnierza i rzucić je tam, gdzie było potrzebne, aby przeszkodzić formacyi nowych armii francuskich, któreby chciały ruszyć Paryżowi na odsiecz. Niebawem też wysłał 2 korpusy pod Paryż, jen. Manteuffla na północ ku Amiens, aby rozproszył lub przynajmniéj trzymał na wodzy armią tak zwaną północną, którą organizował jenerał Bourbaki, a sam ruszył na południe ku Loarze, gdzie się zebrały znaczne siły francuskie.

Spodziewano się końca wojny. Sądzono, że Francuzi po téj straszliwéj klęsce uznają, że dalszy opór powiększy tylko sumę nieszczęść, które przywaliły Francyą i że Paryż otworzy bramy niemieckim wojskom. We wszystkich miastach niemieckich poczyniono przygotowania do illuminacyi, któremi miano uczcić dzień tryumfu Niemiec i upokorzenia Francyi — ale nadzieje zawiodły i tą razą. Jak gdyby było potrzeba Francuzom takich straszliwych prób, aby się ocknęli z letargu, w którym ich pogrążyło cesarstwo, wzięli się oni dopiero teraz energicznie do obrony, dopiero teraz zbudziły się w ich sercach prawdziwie patryotyczne uczucia, nakazujące obywatelowi poświęcić wszystko dla uratowania narodu i kraju. Zakrawające na czczy frazes słowa Gambetty, że Francya będzie broniła całości swych granic, dopóki piędź ziemi będzie wolną od nieprzyjaciela, powtórzył cały naród z zapałem. Departamenta południowe i północne skonfederowały się celem ułatwienia rządowi obrony kraju, powołani pod broń gwardziści ruchomi stawili się wraz z tłumami ochotników pod chorągiew, podpisano nową pożyczkę, wzięto się na gwałt do fabrykacyi broni i sprowadzono ją z zagranicy. We Wogezach, gdzie masy ludu chwyciły za oręż, zjawił się nowoczesny condottiere ludów, jenerał Garibaldi na czele legii z cudzoziemców złożonéj i wolnych strzelców, w Charenton w Normandyi założono obóz, inny utworzył hr. Kératry w Contie w Bretanii; Lyon stał się z fabrycznego miasta wielkiém depôt wojskowém, słowem wojna stała się narodową.

Twórcą i duszą tego ruchu był i jest nieznany do niedawnego czasu, młody i wyśmiany przez gazety niemieckie „Luftschiffer," Leon Gambetta. 32-letni ten adwokat okazał talent organizacyjny, energią i niespożytą żadnemi trudami i niepowodzeniami wytrwałość, która i nieprzyjaciołom zaimponowała. Przybywszy do Tours z Paryża, wziął na swoje barki cały ciężar rządów jako minister spraw wewnętrznych i wojny, budził gorącemi proklamacyami zapał, pobiegł we Wogezy, aby tam wojnę ludową zapalić i w szybkim czasie zorganizował armią Loary, która pod dowództwem jenerała Aurelles de Paladine odniosła pierwsze zwycięztwo nad wojskami niemieckiemi. 10go listopada pobiła armia Loary Bawarów, którymi dowodził jen. Tann na głowę, zdobyła 2 armaty, wzięła 1,200 jeńca i odebrała Orleans. Gdyby był aż do tego czasu trzymał się Bazaine w Metz, byłby Paryż uratowany. Lecz już dążył od wschodu pospiesznemi marszami książę Fryderyk Karól; jenerał Aurelles, który był już dotarł do St. Germain, musiał się cofać, a skutkiém nieszczęśliwych utarczek od 28 listopada aż do 4 grudnia staczanych, musiał na nowo opuścić Orleans i cofnąć się ku Blois i Tours.

W tych samych dniach było i pod Paryżem gorąco. Aby podać rękę zbliżającemu się jenerałowi Palladine, zrobiła załoga paryzka pod wodzą jenerała Trochu i Ducrot'a wycieczkę w kierunku południowo-wschodnim. Rankiem 30go listopada przeszła armia paryzka rzekę Marnę i w gwałtownym zapędzie zdobyła pozycye nieprzyjacielskie. Walka była zaciętą i trwała kilka godzin, gdy wojska niemieckie z zaciętością broniły wiosek Champigny i Bri·, które bagnetem zostały zdobyte. Sasi i Wirtemberczycy, równie jak i część 6go korpusu pruskiego, ponieśli wielkie straty, stracili kilkuset jeńców. Zapaśnicy byli godni siebie, żołnierze bili się dzielnie, a oficerowie francuscy dawali ze siebie bohaterski przykład; sam jenerał Ducrot, który wychodząc z Paryża w ognistéj do żołnierzy odezwie przysiągł na podobieństwo dawnych wodzów rzymskich, że wróci do Paryża zwycięzcą lub na marach, wystawiał się na największe niebezpieczeństwa; jenerał Trochu prowadził osobiście bataliony w ogień. Straszliwy ogień działowy, podtrzymywany przez bateryę pobliskich fortów i armaty łodzi kanonierskich na Sekwanie i Marnie ustawionych, wspierał działania francuzów, które tego dnia zostały uwieńczone zwycięstwem. Przecież linii pruskich nie zdołali rozłamać Francuzi, a nawet 2 grudnia odebrali Niemcy po krwawéj bitwie wyżéj wymienione wioski i armia paryzka musiała powrócić na prawą stronę Marny. Tak więc Francuzi ponieśli nowe klęski, a wojska niemieckie mogą kilku imionami powiększyć spis odniesionych w téj kampanii tryumfów. Ale czy te zwycięztwa zakończą wojnę? Czy w ich następstwie nie będzie mogła reszta Francyi oswobodzić Paryża? Czy zbliżyli się Prusacy do wytkniętego celu? Bynajmniéj. Armia Loary została wprawdzie pobitą i poniosła straty, lecz bynajmniéj nie jest zniszczoną i „rozpędzoną na cztery wiatry," jak to głosiły gazety niemieckie. Jenerał Chanzy, który obecnie nią dowodzi, nie dał się wyprzeć ze stanowiska swego pomiędzy Blois i Tours, i lewem swém skrzydłem styka się z jen. Bourbakim, dowodzącym wojskami Bretanii i Normandyi. Połączone te armie liczą przeszło 100,000 ludzi, a niezmordowany Gambetta pospieszył do obozu, aby obecnością swoją dodać otuchy i energii żołnierzom i dowódzcom. Armia północna została wprawdzie pobitą przez jenerała Manteuffla, który zajął Amiens i Rouen, lecz jen. Faidherbe, znany z kampanii w Senegambii, zreorganizował ją i rozpoczął już ruchy zaczepne. Garibaldi walczy niekiedy szczęśliwie około Dijon i Autun, a na południu zbierają się nowe wojska. W okolicy Tuluzy i Bor-

deaux, dokąd po klęsce Paladine'a rząd przeniósł swą siedzibę, założono obozy, które mają zgromadzić 250,000 ludzi. Londyńska Pall Mall Gazette zapowiada, że w przeciągu czterech tygodni Francya prócz armii Loary, zachodniéj i północnéj, będzie miała 300,000 wyćwiczonego wojska. A Paryż? czy dotrwa do tego czasu, czy też głodem zmuszony otworzy swe bramy? Trudno przewidzieć, bo korespondencye wprost z Paryża pochodzące, zupełnie sprzeczne podają wiadomości. Korespondenci dzienników angielskich Prusom sprzyjających piszą jeremiady o pasztetach ze szczurów, kotów i t. p., podczas gdy Independance belge donosi, że Paryż jest w mięso jeszcze do 1 lutego zaopatrzony, a w mąkę i wino do wiosny. Po któréj stronie słuszność, niedaleka pokaże przyszłość.

Bądź co bądź, czy Paryż ulegnie, czy się obroni, w każdym razie będzie przynajmniéj honor Francyi ocalony. Cesarstwo popchnęło Francyą w przepaść nietylko nieszczęść, ale i hańby, wpuściło nieprzyjaciela do serca kraju i zatraciło sławę wojenną Francyi. Rzeczpospolita nie zastała nic, prócz patryotyzmu mieszkańców i potrafiła we dwa miesiące postawić kilkakroćstotysięczną armią, która lepiéj się bije, aniżeli stare legie cesarstwa. Jenerałowie rzeczypospolitéj po większéj części nieznani, gdyż byli odsunięci od wydatnych stanowisk za cesarstwa, zawstydzają owych marszałków otytułowanych imionami z wszystkich części świata przyniesionemi. A wreszcie patryotyzm rozgrzewający dzisiaj serca Francuzów jest wcale niepodobny do owego chauvinizmu, który miało na swe zawołanie cesarstwo, a który się okazał pustym krzykiem płatnych dziennikarzy lub półgłówków.

Wspomnienia starego szlachcica

Mnożysława Przekory.

(Obrazek społeczny).

(Dokończenie).

„Kiedym był w Myśnii dla obejrzenia fabryki porcelany, powiadano mi, że niedaleko mieszka niejaki p. Oberwitz, zawołany gospodarz w całéj Saksonii. To było dla mnie dostateczną pobudką by go odwiedzić, W istocie znalazłem gospodarstwo we wszystkich szczegółach usprawiedliwiające sławę jaką zyskało; ale co mnie szczególniéj uderzyło, to rozporządzenie przeznaczeniem trzech synów, których mi p. Oberwitz przedstawił. „Karl, mówił mi, ma niespełna lat 12; głowa tępa, ale jak wół pracowity; to będzie filozof i wielki literat. Gottlieb średni jest poczciwy, mało mówiący, i choć miernych zdolności, może być przecież dobrym pastorem. Fritz najstarszy, przebiegły, zdolny, skrzętny, ten musi być gospodarzem.

Takowa kwalifikacya pokazuje, że Niemcy nie uważają wiejskiego gospodarstwa za pewny rodzaj siesty, za jakieś dolce far niente. W rzeczy saméj są to mrówki skrzętne, zajęte od rana do wieczora, a pracy téj nie uważają wcale za karę Ixyona, ale za obowiązek od powołania ich nieodłączny. Nie idzie zatém żeby Niemcy nie lubili, nie używali wcale rozrywek, owszém, w chwilach wolnych od naglejszych zatrudnień gospodarskich bawią się przyjemnie ale po swojemu.

„Niedaleko Boizenburga w Meklemburgskiem, poznałem niejakiego p. Sparsama, którego ojciec jako Amtmann w nowo-wschodnich niegdyś Prusach, dorobił się znacznego majątku i wróciwszy do ziemi rodzinnéj, kupił dwa folwarki, u nas na miano kolonii zasługujące. Syn jego, a teraźniejszy dziedzic, spędziwszy kilka lat młodocianych w Polsce, nie zapomniał jeszcze zupełnie po polsku, a że był Meklemburczykiem, mile więc wspominał Polaków i mnie przyjął z radością. Gospodarstwo jego zalecało się hodowlą bydła i koni, i to właśnie sprowadziło mnie do niego. Pokazał mi z ochotą swoją oborę i stajnią, ale zarazem dodał: „Zbyt młody jeszcze byłem opuszczając Polskę, nie mogę więc stanowczo rozumować o gospodarstwie waszem; z tego wszakże co sobie przypominam, równie jak z potocznych rozmów ojca, zdaje mi się, iż nie bez zasady wyprowadziłbym wniosek, że gospodarstwo wasze nie może być ani niemieckie, ani angielskie, ale powinno być czysto polskie. Wiele ulepszeń wypada wam zaprowadzić, ale wszystkie ze względem na miejscowość. Folwark mój jeden obejmuje około czterech włók waszéj miary; toć mnie łatwo taki kawałek gruntu uprawić jak ogród. Ale niechże który z waszych dziedziców włości zabierze się do takiéj uprawy swojego folwarku pięć lub sześć razy rozleglejszego. Dla mnie rosłe moje konie są bardzo dogodne, u was byłyby ciężarem dla gospodarza. Wam potrzeba koni miernych, lekkich, zwinnych, bo i gatunek i obszerność gruntu tego wymaga. Nie skupować więc u nas, ale własne poprawiać przez stósowne hodowanie winniście.

„Kiedy niekiedy odwiedzając krewnych w Polsce, z żalem widziałem, że młodzi gospodarze wasi rzucają się do wyrozumowanego gospodarstwa, ale bez wyrozumowania. Nie oglądają się wcale czy i kiedy ujrzą korzyści swojego wyrachowania. Piękny to zaiste widok tego ruchu, musi on bez wątpienia tu i owdzie piękne wydawać owoce; w masie jednak spełznie na niczém. Przyjdzie czas niezawodnie, gdy miasta wasze zaludnią się, przestaną być rólniczemi; wtedy gospodarstwa wasze zrównają się z zagranicznemi, bo nie będzie hołdownikami obcych rękodzielni, ani uniżonemi sługami zagranicznych kupców.

„Pospolite u was wyrażenie: bez pieniędzy nie podobna brać się do gospodarstwa. Prawda i wielka prawda, skoro idzie o zakupienie gruntu, inwentarzy, sprzętów, zasiewów i tym podobnych rzeczy na pierwszy zakład; lecz z temi warunkami wprowadzone w ruch gospodarstwo własnemi już siłami trzymać się i dźwigać powinno; do tego wszakże potrzeba cierpliwości i rozważnego wyrachowania.

„Znam ja u was jednego obywatela, który po rodzicach odziedziczył dwa rozległe folwarki z hipoteką jak kryształ czystą, bo nawet bez listów zastawnych. Będąc zamożnym, chciał po waszemu zostać jaśnie panem. Zakupił znaczne dobra w sąsiedztwie, jedne czwartą szacunku zapłacił długiem zaciągniętym na hipotekę ojcowizny, trzy czwarte rozłożono na raty, a rewersa lichwiarskie dostarczyły funduszów na zakupienie inwentarzy. Zapytany przezemnie sąsiad jego o zasadę tego rachunku, oświadczył mi, iż to wszystko opiera się na zbiegu szczęśliwych dla tego pana okoliczności. Najprzód żeni się z panną kroci owego posagu; powtóre jest jedynym spadkobiercą stryja, po którym same kapitały aż nadto dostateczne będą na oczyszczenie hipotek. Później dowiedziałem się, że krocie po ślubie skra-

dziono, a stryjaszek na starość ożenił się i zostawił aż dwóch sukcesorów. Dla naszego jaśnie pana w nadziei pozostał ratunek chwilowy w sądach, a ostateczny w służbie za ekonoma. Wtedy przekonałem się, że niemieckie przysłowie dobre jest: „Talar który mam, lepszy od stu które mógłbym mieć.“

„U nas, mój panie, grosze składają się na złotówki, a złotówki na talary; wy zaś w imaginacyi obliczacie tysiące na miliony. Macie przysłowie „nie od razu Kraków zbudowany“, a wcale nie baczycie na nie. Dla tego nigdzie tyle ciągłych skarg na złe czasy nie usłyszysz ile u was. Ustawicznie obracacie się w wilczych opłotkach. Przenica obrodziła, cóż ztąd kiedy tania! pszenica dobrze płaci, ba! kiedy jéj mało! My szczęśliwi kiedy nam gospodarstwo przyniesie sześć procent; wam piętnaście za mało. Prawda że wydatki wasze najmniéj o sto procent wyższe są od naszych, bo my żyjemy po niemiecku. Wy się śmiejecie z nas, a nam z tém bardzo dobrze. Dla tego, jak z jednéj strony cieszę się, że mi los zdarzył pana na świadka naszéj familijnéj uroczystości, tak z drugiéj żałuję, że nie potrafię panu sprawić téj przyjemności, jakąbyś w podobnym razie znalazł w Polsce.“

Właśnie odwiedzając p. Sparsam trafiłem na obrzęd zaręczyn córki jego Laury. Zebrało się z sąsiedztwa podobnychże właścicieli około dwudziestu osób, mężczyzn i kobiét zarazem. Na obiad dano coś nakształt zupy migdałowéj, potrawkę z gołąbków i pieczonego jędora z sałatą. Było parę butelek wina czerwonego kwasowato-cierpkiego, weissbier i woda. Kobiéty zajmowały miejsce przy stole bardziéj do siebie zbliżone; mężczyzni osobną tworzyli grupę. Chcąc pochwycić rozmowę i jednych i drugich, na obiedwie strony nadstawiałem ucha, lecz tyle tylko powziąłem, że między kobiétami głównym przedmiotem były choroby drobiu podówczas panujące i nowy jakiś sposób prania materyi; mężczyzni zaś rozprawiali o Boliwarze libertadorze Wenezueli, i obrachowywali skutki wyswobodzenia Ameryki pod względem handlu i przemysłu.

Po obiedzie młodzież zabrała się do tańca; mężczyzni starsi w przyległym pokoju, przy oszczędnych fajkach, daléj ciągnęli rozmowę geograficzno-statystyczną, któréj słuchałem jak uniwersyteckiéj prelekcyi, z większem zajęciem i upodobaniem, jak niegyś ś. p. ekonomii politycznéj w naszéj warszawskiéj szkole głównéj. Czas tak szybko a przyjemnie upływał, że nie spostrzegłem kiedy zapalono lampy i przystąpiono do obrzędu.

Po skończonéj ceremonii zgrabne Niemeczki przyniosły na tacach w kieliszkach niewielkich wino mozelskie, i mniéj kwaskowe jak przy obiedzie czerwone, i wcale nie cierpkie. Tu nadmienić winienem, że choć dwór p. Sparsam był murowany, obszerny i pięknéj wcale budowy, choć właściciel tego dworu był rzeczywiście von i miał około dziesięciu tysięcy talarów dochodu czystego rocznie, przecież liberyi u niego ani powieć; nie było ani kuchtów, ani masztalerzów, ani kredencerzów, zgoła nic z téj licznéj nomenklatury służących, jaką się napotyka po lichych nawet naszych folwarczynach. Dwie Niemeczki usługiwały do stołu; też same w ciągu zabawy obnosiły butersznitki, ciastka, owoce, i rozmaite, i w rozmaity sposób zaprawione, ale wszystko w domu. O godzinie jedenastéj skończył się cały bal; wszyscy goście rozjechali się, a nazajutrz rano i ja byłem w Boizenburgu.“

— „Dziwne rzeczy mi waść prawisz, przerwał w tém miejscu ojciec; jać to dawno słyszał, że to tam Niemcy bardzo skromnie żyją i niemal samą wasserzupką się obywają. Ale zdarzyło mi się raz z przypadku trafić na obiad u jednego z moich sąsiadów, także jakiegoś rzeczywistego von: obiad był suty, wina dosyć, i wyśmienite, niekwaskowe, wcale de bono grano, choć nie było żadnéj uroczystości. Waść wiesz że ja zawsze byłem za oszczędnością i dobrze grosz obejrzę, nim się z nim pożegnam, a jednak na taką oszczędność wcale się nie zgodzę, zwłaszcza téż przy takiéj uroczystości. Bez zbytku, bez tych tam nowych wymysłów, ale dobrze zjeść lubię. Nie cierpię léj, przeléj, nie nawidzę przynuki; ale kieliszek wytrawnego węgrzyna i jeden i drugi, to nie zawadzi, zwłaszcza kiedy się znajdzie bez uszczerbku na potrzebniejsze wydatki. Tfy! a pocóżby też człowiek i żył na świecie, żeby się nie miał kiedy niekiedy przyzwoicie zabawić z dobrym sąsiadem!“

— „Wszystko, mój ojcze, rzekłem, zależy od wyobrażenia i nałogu. Niegdyś u nas godów, uczt, odpustów, jarmarków zasadą była pijatyka i bijatyka: teraz świat polerowniejszy, wykwintniejszy; przy lada okazyi cichuteńko się bawią... przy zielonym stoliku. Bez hałasu przesuwają się tysiące z rąk do rąk. Czasem się przemknie po stoliku ślubna kareta, dzielna czwórka kasztanków, niekiedy się i wańtuchy przewalają i pszenica w snopie: ale to wszystko grzecznie, pięknie i wesoło. Prawda że potém idą skargi na ciężkie czasy, na nieurodzaj, na brak kapitałów, na lichwę, na ogromne koszta edukacyi dzieci i t. d.

„Niemcy inne mają wyobrażenie zabawy. Przez ciąg mojego pobytu za granicą w różnych bywałem towarzystwach; a w żadnym prywatnym domu nie zdarzyło mi się spotkać z asem lub kralką. Wszędzie rozmowa jest gruntem zabawy. Ale też przyznać potrzeba że między gospodarzami niemieckiemi mnóstwo jest ludzi z wszechstronnem naukowem ukształceniem, którego pod skibę nie zagrzebują.“

— „Stój waść, zawołał ojciec, gniewają mnie te pochwały cudzoziemczyzny. Waść jeszcze nie znasz naszych gospodarzy; są między niemi ludzie z sercem i głową, a znajdą się i tacy, coby twoich Niemców z całą ich nauką w kozi róg zapędzili. Późniéj ich wymienię, a teraz pomówmy o czém inném, bo nie chcę żeby Przekora Przekorze na przekorę gadał.“

ROZMAITOŚCI.

Zagadka.

Pierwsze mały przyimek, za to drugie trzecie
Nasamprzód świętém było w starożytnym świecie,
Dzisiaj jest dla młodzieży zabawą lub zgubą,
Wreszcie u próżnych kobiet częstokroć jest chlubą.
Wszystko imie, — u kobiet jedynie się zdarza,
Szukaj w łamach rzymskiego tylko kalendarza!

Rozwiązanie zagadki w Nr. 51: ***Maleparta***).

Korespondencya Redakcyi.

Panu Leopoldowi M. w Wągrówcu: Wszystko załatwione. Za pomoc ofiarowaną dziękujemy. — Szczepanowi C. w powiecie Inowrocławskim. Listu nieotrzymaliśmy — nie rozumiemy więc żądania pańskiego. — Konstantemu W. na prowincyi. Powieści mamy aż dwie w zapasie. Nie możemy więc z grzeczności pańskiéj korzystać. Co do artykułu treści czysto naukowéj, to udaj się pan do dzienników, które działy te traktują. — Sewerynowi B. w Berlinie. Zwracanie manuskryptów, naraziłoby nas na wiele zajęcia bezużytecznego. Żadna redakcya podobnych obowiązków na siebie nie przyjmuje.

Od Redakcyi.

Staropolskim zwyczajem Redakcya przesyła Czytelnikom swoim życzenie wesołych świąt.